

Kim są Amerykanie?

Samuel P. Huntington: *Kim jesteśmy? Wyzwania dla amerykańskiej tożsamości narodowej*, przekład Bartłomiej Pietrzyk, Wydawnictwo Znak, Kraków 2007.

Samuel P. Huntington, znany z wieszczenia zderzenia cywilizacji, co miało się jawnie potwierdzić w ataku terrorystycznym 11 września 2001 roku, tym razem zajął się kwestią tożsamości amerykańskiej. Zagadnienie to przewijało się w jego pracach już od dawna, niemniej dopiero teraz przedstawił prawie 400-stronicowe opracowanie poświęcone meandrom tożsamości amerykańskiej. Już wcześniej Huntington alarmował w artykule *Latynoskie wyzwanie*, iż powiększająca się wciąż latynoska emigracja, nie chcąc się asymilować, stanowi duże zagrożenie dla kultury amerykańskiej¹. W *Kim jesteśmy* rozwija swe tezy.

Książka, wydana w Stanach Zjednoczonych w 2004 roku, zdążyła już wzbudzić tam ogromne kontrowersje – Huntingtonowi zarzucano amerykanocentryzm, rasizm, skrajny konserwatyzm. Zdarzały się też zarzuty cięższe, m.in. takie, że dotąd nie napisał książki tak źle i słabo uargumentowanej, odwołującej się na dodatek do tanich chwytów.

Jak sam autor mówi na wstępie, chciałby nie tylko zgłębić istotę amerykańskiej tożsamości narodowej, ale także prześledzić jej przemiany. I choć książka pozostaje w kręgu kultury amerykańskiej, możemy znaleźć w niej również odzwierciedlenie problemów dotyczących Europy, w tym także Polski. Większość bowiem krajów europejskich boryka się z trudnym problemem imigrantów, z kwestiami asymilacji

¹ S.P. Huntington: *The Hispanic Challenge*, „Foreign Policy”, marzec–kwiecień 2004, s. 30–45. Por. też *Special Case of Mexican Immigration: Why Mexico Is a Problem*, „The American Enterprise” 2000, nr 11 (8) Dec., s. 20–22.

ich odmiennych kultur. Towarzyszy temu nie tylko lęk przed obcym, ale także obawa przed utratą części własnej tożsamości.

Huntington już w *Zderzeniu cywilizacji* wieścił zagrożenie ze strony innych cywilizacji (głównie dla cywilizacji amerykańskiej). Tak do końca nie wiadomo jednak, kto konkretnie miałby stanowić największe zagrożenie dla cywilizacji amerykańskiej. Z jednej bowiem strony niepokojąca wydaje się dla interesów narodowych Ameryki cywilizacja islamu, z drugiej zaś – wydawałoby się, nie tak odległa kulturowo – ludność latynoamerykańska.

Mimo to do 11 września wydawało się, że Ameryka nie ma jasno określonych wrogów. W związku z tym miała kłopoty ze swoją tożsamością. Od czasów zakończenia zimnej wojny nie wiadomo było bowiem, wobec kogo się określać.

„Najgłębsze pytanie o rolę Ameryki w świecie po zimnej wojnie zadał niespodziewanie Rabbit Angstrom, udręczony bohater powieści Johna Updike’a: „Jaki sens być Amerykaninem, skoro nie ma już zimnej wojny?”. Rzeczywiście, „jeśli bycie Amerykaninem oznacza oddanie sprawie wolności, demokracji, indywidualizmu i prywatnej własności, a wrogie tym ideałom imperium zła zniknęło – to co właściwie znaczy być Amerykaninem i co jest amerykańskim interesem narodowym?” – pisał w 1998 roku Huntington².

Co ciekawe, nie upatrywał wówczas w islamie możliwości uznania go za wroga powodującego odrodzenie tożsamości narodowej. Bardziej kładł nacisk na zagrożenie ze strony imigrantów, głównie latynoamerykańskich, niechętnych asymilacji pod sztandarem amerykańskich wartości, a także wszelkie związane z tym ideologie sławiące różnorodność i wielokulturowość. Już jednak w *Kim jesteśmy*, książce wydanej po 11 września, zauważył i docenił ogromny wybuch patriotyzmu wśród Amerykanów, a także związane z tym wzmocnienie tożsamości amerykańskiej. Wielu ludzi, którzy dotąd, mówiąc o sobie, „bycie Amerykaninem stawiali daleko za innymi samookreśleniami, przetasowało swoje hierarchie wartości. Po

² S. Huntington: *Stany Zjednoczone, tożsamość narodowa*, „Gazeta Wyborcza”, 9 maja 1998.

11 września Ameryka, która na moment zapomniała o swej tożsamości, znów przeżyła renesans narodowego patriotyzmu. Objawiło się to w iście amerykański sposób – Amerykanie, którzy i tak nad wyraz wielbią swoją flagę, po 11 września zaczęli ją umieszczać dosłownie wszędzie – na domach prywatnych, w witrynach sklepów, na koszulkach, czapczkach itd. Przemiany patriotyczne, jakie przytacza Huntington w *Kim jesteśmy*, stanowią niekiedy swoisty szczyt grafomaństwa politycznego i przybierają rozmiary hysterii ogólnonarodowej (por. np. s. 17–18).

Huntington wyraźnie dzieli więc Amerykę na tę przed i po 11 września. Jako przyczyny chwilowej utraty tożsamości przywołuje – jak zwykle – największe zmory współczesnego, w dużej mierze liberalnego świata: globalizację, wielokulturowość, kosmopolityzm, imigrację, subnacionalizm, antynacionalizm.

Gdzie autor upatruje ratunku? Bo, rzecz jasna, impuls po chwilowym zagrożeniu terroryzmem to jedynie przebudzenie i powrót do tego, co wedle Huntingtona najbardziej wartościowe – czyli kultury anglo-protestanckiej. Kulturę tę czasem określa się jako kulturę *White Anglo-Saxon Protestants* (WASP). Ona nie tylko stworzyła Amerykę, lecz także pozwoliła jej przetrwać oraz zadecydowała o jej charakterze jako supermocarstwa. To również kultura, jak powiada Huntington, która pozwoliła stworzyć wielorasowe i wieloetniczne społeczeństwo. „To właśnie Ameryka którą znam i kocham. To również – jak udowadniam w tej książce – Ameryka, którą kocha i której pragnie większość Amerykanów” (s. 13) pisze Huntington, a co zapowiada, że najnowsze dzieło amerykańskiego politologa będzie wielką apologią jego ojczyzny.

Główne tezy swej książki Huntigton przywołuje już na początku. Po pierwsze, znaczenie tożsamości narodowej dla Amerykanów zmienia się w czasie. Kilka istotnych dat to: koniec XVIII wieku, początek XIX wieku (kiedy to miało miejsce jej kształtowanie się), lata sześćdziesiąte XX wieku oraz najważniejsza cezura czasowa 11 września 2001 roku. Po drugie, inne kategorie przynależności, takie jak rasowe czy etniczne, właściwie zupełnie zniknęły bądź

też straciły na znaczeniu. Pozostają tylko kategorie ideologiczne i kulturowe. Wyznacznikami amerykańskiego *credo*³ – w którego istnienie tak mocno wierzy Huntington, i na które kładzie nacisk – są język, religia, zaangażowanie, anglosaska koncepcji rządów prawa, wartości protestanckie, etyka pracy, indywidualizm i prawa jednostki. Po trzecie, napływ emigrantów z Ameryki Łacińskiej i Azji stawia tę tożsamość pod znakiem zapytania.

Zanim jednak Huntington zajmie się problemami współczesnej Ameryki, poświęca dużą część książki na rozważania teoretyczne na temat pojęć kultury oraz tożsamości i jej źródeł. Ta część nie obfituje w szczególnie ciekawe spostrzeżenia, zawiera jedynie podsumowanie kwestii, o których można przeczytać w większości publikacji. Interesujące są natomiast te fragmenty, w których autor odwołuje się do realiów amerykańskich.

Według Huntingtona amerykańskie *credo*, będące wyznacznikiem tożsamości, zaczęło się ujawniać dopiero pod koniec XVIII wieku. Do tego czasu Amerykanie określali się w kategoriach rasy, przynależności etnicznej, kultury, a przede wszystkim religii. Dopiero w momencie pogorszenia się stosunków z Wielką Brytanią, wraz z rodzącą się potrzebą uniezależnienia, zaczęto szukać innego uzasadnienia własnej tożsamości niż to, które dotąd było wspólne z Brytyjczykami. I choć oczywiście główne składniki owego *credo* mają korzenie anglosaskie, to jednak, zdaniem Huntingtona, kultura amerykańska w ostateczności ukształtowała się odmiennie. Co ważne w tym rozróżnieniu, amerykańska tożsamość – jako będąca niejako „obywatelską”, czyli określoną przez zestaw zasad – zyskuje przewagę nad tożsamością czysto etniczną czy też etniczno-kulturową innych społeczeństw. Pozwala to twierdzić Amerykanom, że ich kraj jest zarazem wyjątkowy i uniwersalny – jego zasady dają się zastosować do każdego narodu na świecie.

Huntington przyznaje, że swoista mieszanka kultury anglo-protestanckiej była, jest i powinna zostać dominującą, jeśli nie jedyną

³ Huntington przejął to określenie od Gunnara Myrdala, który spopularyzował je w książce *The American Dilemma* (1944).

możliwością w Ameryce, jeśli Ameryka ma zamiar pozostać tym, czym była dotąd, i za co, jak na początku sam zadeklarował, ją kocha, a także, w jego mniemaniu, kocha ją większość Amerykanów. Swoją drogą, chyba w takim stwierdzeniu nie ma na myśli rosnącej rzeszy imigrantów zza południowej granicy, a także z odległej Azji. W Huntingtonowskim rozumowaniu Amerykanin to człowiek, który przyswoił ową kulturę amerykańską, innej możliwości być nie może. Tak się działo na przestrzeni dziejów, to przynosiło krajowi same korzyści i pozwalało budować jego potęgę. Dziś nie można pozwolić na zaprzepaszczenie dokonań przodków.

Autor mówi o kulturze anglo-protestanckiej, choć właściwie sam przyznaje, że protestantyzm jako religia już dawno przestał być dominujący wśród napływającej ludności. Przekonuje jednak, że wartości protestanckie przetrwały w kulturze i jako takie mogą funkcjonować w oderwaniu od religii.

Kolejnym ważnym momentem dziejowym dla kształtowania się amerykańskiej tożsamości była druga wojna światowa. Wraz z jej zakończeniem Ameryka przestała się postrzegać w roli przeciwnika Europy. Przyjęła rolę przywódcy całego świata zachodniego, w walce z czerwoną Rosją i Chinami. A potem nastąpił kres zimnej wojny i naturalny brak cementowania amerykańskiego poczucia jedności. Wzrost poczucia tożsamości narodowej nastąpił na chwilę (Huntington mówi o dwóch latach) po 11 września.

Jednak już wcześniej, w latach sześćdziesiątych XX wieku, w wyniku ruchów społecznych, co niewątpliwie powiązane było również z narastającymi falami imigrantów, koncepcja Ameryki jako jednolitego organizmu zjednoczonego wokół takich samych (anglo-protestanckich) wartości była coraz mocniej nadszarpywana. Dekonstrukcyoniści owej jedności opowiadali się za wzrostem znaczenia subnarodowych grup rasowych, etnicznych i kulturowych. Potępiali przymusową asymilację, a nawet namawiali do zachowywania kultury swojego kraju. Ruch ten doprowadził do szerokiej debaty publicznej nad pojęciem narodu, problematyką imigracji i asymilacji. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych ruch ten uległ znacznemu osłabieniu.

Wszelkie takie próby Huntington uznaje za wyzwanie rzuca-
ne amerykańskiemu *credo*. Każdy, kto nie chce pełnej asymilacji
pod sztandarem uniwersalnych wartości amerykańskich uznawa-
wany jest przez niego za przeciwnika tych wartości. A przecież
są to wartości uniwersalne – godność równość, wolność, sprawied-
liwość, uczciwe szanse – choć oczywiście są to tylko idee i w za-
sadzie nigdy, w całej historii Ameryki, nie zostały w pełni wcielone
w życie. Dlatego też niektórzy skłaniali się ku przykrojeniu owych
ideałów do rzeczywistych wartości praktykowanych przez obywa-
teli. Huntington wierzy, że to właśnie jednak amerykańskie *credo*
pozwoili stworzyć wielokulturowe, wieloetniczne społeczeństwo,
doprowadzając do zakończenia segregacji i dyskryminacji rasowej.
Dlatego też w żadnym razie nie należy z niego rezygnować, choćby
jako z nieosiągalnego ideału. Nasuwa się jednak pytanie, czy w ta-
kim razie społeczeństwo amerykańskie ze swoimi szczytnymi ide-
ałami samo na siebie ukręciło bicz? Czy też jednak przekonanie
Huntingtona o tolerancyjności narodu amerykańskiego jest nieco
nazbyt optymistyczne?

Mimo więc, że Ameryka obecnie nie ma żadnego „naturalnego”
wroga w postaci supermocarstwa, istnieją inne zagrożenia „roz-
sądzania” jej niejako od środka – zagrożenia te stanowią rosnące
rzesze imigrantów, głównie latynoamerykańskich. Huntington wy-
raża obawę nie tylko o powstającą w związku z tym erozję oby-
watelstwa, zanik tradycyjnej, hołubionej przez niego tożsamości
amerykańskiej, ale wręcz wieszczy (a biorąc pod uwagę siłę jego
wizji, być może należy je traktować całkiem realnie) podział kraju
na dwie części – anglojęzyczną i hiszpańskojęzyczną.

Pozostaje zadać pytanie, dlaczego dopiero teraz imigranci mają
być przyczyną upadku potęgi Ameryki, skoro dotychczas przyczy-
niali się do jej wzrostu? Wszak Ameryka to kraj imigrantów, lud-
ność rdzenna już dawno została zagoniona do rezerwatów. Do tej
pory – odpowiada Huntington – imigracja wiązała się z pełną
asymilacją społeczno-kulturową, zazwyczaj już drugie pokolenie
było w pełni zasymilowane, czyli w rozumieniu autora stawało się

prawdziwymi Amerykanami, wyrzekając się tym samym własnych tożsamości narodowych. Jak pisze: „Podstawowym problemem Ameryki nie jest imigracja, lecz to, czy towarzyszy jej asymilacja. W jakim stopniu ci imigranci, ich następcy oraz potomkowie podążą ścieżką wcześniejszych imigrantów zostaną zasymilowani społecznie i kulturowo przez Amerykę, staną się zdeklarowanymi Amerykanami, odrzucającymi inne tożsamości narodowe, a ich przekonania i czyny będą wyrazem wiary w zasady amerykańskiego *credo*?” (s. 166).

Tymczasem imigranci z Południa, zwłaszcza zaś Meksyku, uparcie nie chcą się asymilować. Takie zjawisko nie ma, zdaniem Huntingtona, precedensu w historii Ameryki. Ludność hiszpańskojęzyczna nawet w czwartym pokoleniu nadal odstaje od standardów amerykańskich pod względem poziomu wykształcenia oraz statusu społecznego i ekonomicznego. Sprzyja z pewnością temu łatwość przekraczania granic – dawniej wyemigrowanie do Ameryki wiązało się z wieloma przeszkodami, co automatycznie pozwalało przedostać się tam jednostkom najbardziej operatywnym i silnym. Te cechy zaś sprzyjały osiągnięciu sukcesu na miejscu.

Koncentracja ludności imigracyjnej ułatwia utrwalanie się używania języka hiszpańskiego w następnych pokoleniach. Na dodatek wywiera w ten sposób presję na pozostałych Amerykanach, aby respektować ich odmienność w tej materii. Jako dowód na to przytaczana jest wypowiedź prezydenta Clintona, iż ma nadzieję być ostatnim prezydentem nie znającym języka hiszpańskiego.

W ostatecznym rozrachunku doprowadzi to do dyskryminacji, tym razem Amerykanów anglo-protestanckich. Zostaną oni zmuszeni do dostosowania się lub opuszczenia terenów zajętych przez ludność latynoską. Poza tym imigranci jako silna grupa zaczną wywierać coraz większy wpływ na rządzenie krajem, na gospodarkę, a także na kulturę i wartości. Wedle Huntingtona będzie to prosta droga do upadku Ameryki. Będzie to koniec Ameryki, jaką znamy od wieków – nieco historycznie woła Huntington – a nowo powstały twór może być w jego ocenie zapewne tylko gorszy.

W rozdziale podsumowującym Huntington przedstawia trzy możliwości dalszego rozwoju Ameryki. Pierwsza z nich to kosmopolityczne otwarcie się na świat, z jego wieloetnicznością, wielorasowością, wielokulturowością. Różnorodność będzie hasłem nadrzędnym, a przeciętny Amerykanin będzie się stosował nie do zasad wyznaczonych przez rząd federalny czy rządy stanowe, lecz przez różne organy międzynarodowe takie jak ONZ, Światowa Organizacja Handlu, Sąd Światowy, międzynarodowe prawo zwyczajowe. Tożsamość narodowa straci na znaczeniu. Czyli, jak mówi Huntington: „W alternatywie kosmopolitycznej świat przekształci Amerykę” (s. 323). W drugiej wizji, czyli imperialnej, to Ameryka przekształci świat. Ameryka już znajdowała się w roli imperialisty, i duża część Amerykanów zapewne chętnie nadal by ją w ten sposób postrzegała. Zdaniem Huntingtona jednak najlepszym wyjściem i pożądanym przez przeważającą większość społeczeństwa amerykańskiego jest model państwa narodowego. Z umocnioną tożsamością, z amerykańskim *credo* jako jedynym modelem bycia Amerykaninem. Że zaś wybór drogi obranej przez jego ojczyznę wpłynie na losy całego świata, co do tego Huntington nie ma wątpliwości.

Lektura *Kim jesteśmy* pozostawia czytelnika z nieco mieszanymi uczuciami. Z jednej strony autor aspiruje bowiem do wyczerpującego opracowania kwestii tożsamości, uwzględniając spojrzenie historyczne, z drugiej zaś książka czasem sprawia wrażenie chaotycznego przedstawiania faktów, podporządkowanych z góry postawionej tezie. Ponadto kręcenie się wokół pojęcia *credo*, w sposób niewiele wnoszący, bez nowych spostrzeżeń, po jakimś czasie nuży i osłabia siłę przekonywania. Z argumentacją swojego stanowiska Huntington często miewa problemy. Zapewne w swym mniemaniu wypowiada oczywistości i stwierdzenia nie potrzebujące uzasadniania naukowego, co sprawia, że niejednokrotnie odchodzi w kierunku publicystyki.

Jeśli zaś chodzi o kwestie merytoryczne, Huntington niejednokrotnie poddaje się łatwym, acz chwytliwym uproszczeniom, na przykład wyrażając tak silną wiarę w istnienie jednolitych warto-

ści wyznawanych w Ameryce. Alan Wolfe, amerykański publicysta w „Foreign Affairs” wyraził przekonanie, że wręcz trudno mówić o jednolitej kulturze protestanckiej w obliczu tylu istniejących niezgodności wśród Kościołów protestanckich w Ameryce. Inni krytycy wytykają mu błędy dotyczące faktów. Między innymi przywołując ogromną liczbę osób pochodzenia latynoamerykańskiego, które to przyjęły religie protestancką. Ma to się przeciwstawiać tezie Huntingtona o braku asymilacji wśród tej grupy. Oczywiście, łatwo można manipulować danymi w celu dowiedzenia uprzednio postawionej tezy. Można bowiem na przykład stwierdzić, iż jest to asymilacja w gruncie rzeczy pozorna.

Inny zarzut dotyczy braku logiki w argumentacji Huntingtona. Zastanawia na przykład, w jaki sposób Huntington godzi tę propagowaną tolerancję, równość i indywidualizm z amerykańskiego *credo* z koniecznością dostosowania się ludzi do jednego wzorca. Jeśli miałby to być wzorzec tak pojemny, jak wynikałoby z deklaracji ideologicznej, byłoby tam miejsce dla wszystkich Ameryk. Huntington jednak widzi to inaczej, co nie przekreśla faktycznego problemu imigrantów. Powstaje tylko pytanie, czy proponowane przez niego rozwiązania są tymi najwłaściwymi. Być może ta książka ma prawo oburzać (faktycznie, niektóre stwierdzenia ocierają się o rasizm) być może autor nagina pewne fakty, ale niewątpliwie wyraża sposób myślenia pewnie nie całej, ale sporej części Ameryki, Ameryki nie liberalnych intelektualistów, ale przeciętnych mieszkańców. Być może dzięki takiemu świętemu oburzeniu, w dużej mierze uzasadnionemu, Huntington zwrócił uwagę na faktycznie istniejące problemy – choć nie w taki sposób, jak by zapewne tego oczekiwał.

Żaneta Oczkowska